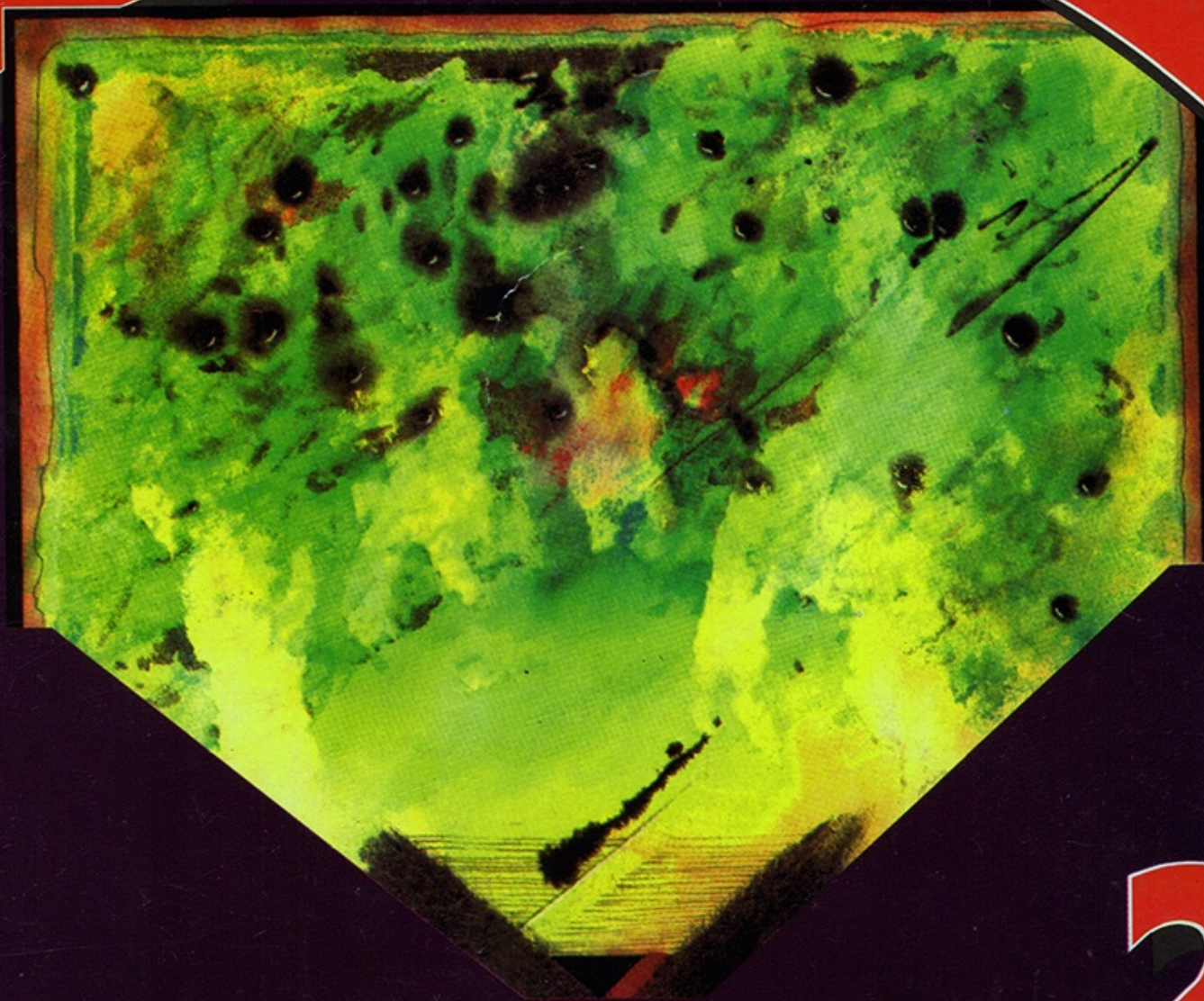


MIROSLAW PRANDOTA

ŁAŃCUCH KRWI



3

Mirosław Prandota

Łańcuch krwi. Część III - Na tropie
Cygana



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Mirosław Prandota
„Łańcuch krwi”. Część III – „Na tropie Cygana”

Copyright © by Mirosław Prandota, 1995

Copyright © by Wydawnictwo Profi, 1995

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej
publikacji nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana w
jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor serii: Andrzej Kaźmierczak

Redaktor techniczny: Michał Grom

Redaktor wydania: Barbara Grzywińska-Doktor

Projekt graficzny okładki: Andrzej Włoszczański

Autor ilustracji: Wacław Wołosz

Korekta graficzna okładki: Jakub Kleczkowski

Skład epub, mobi, pdf: Kamil Skitek

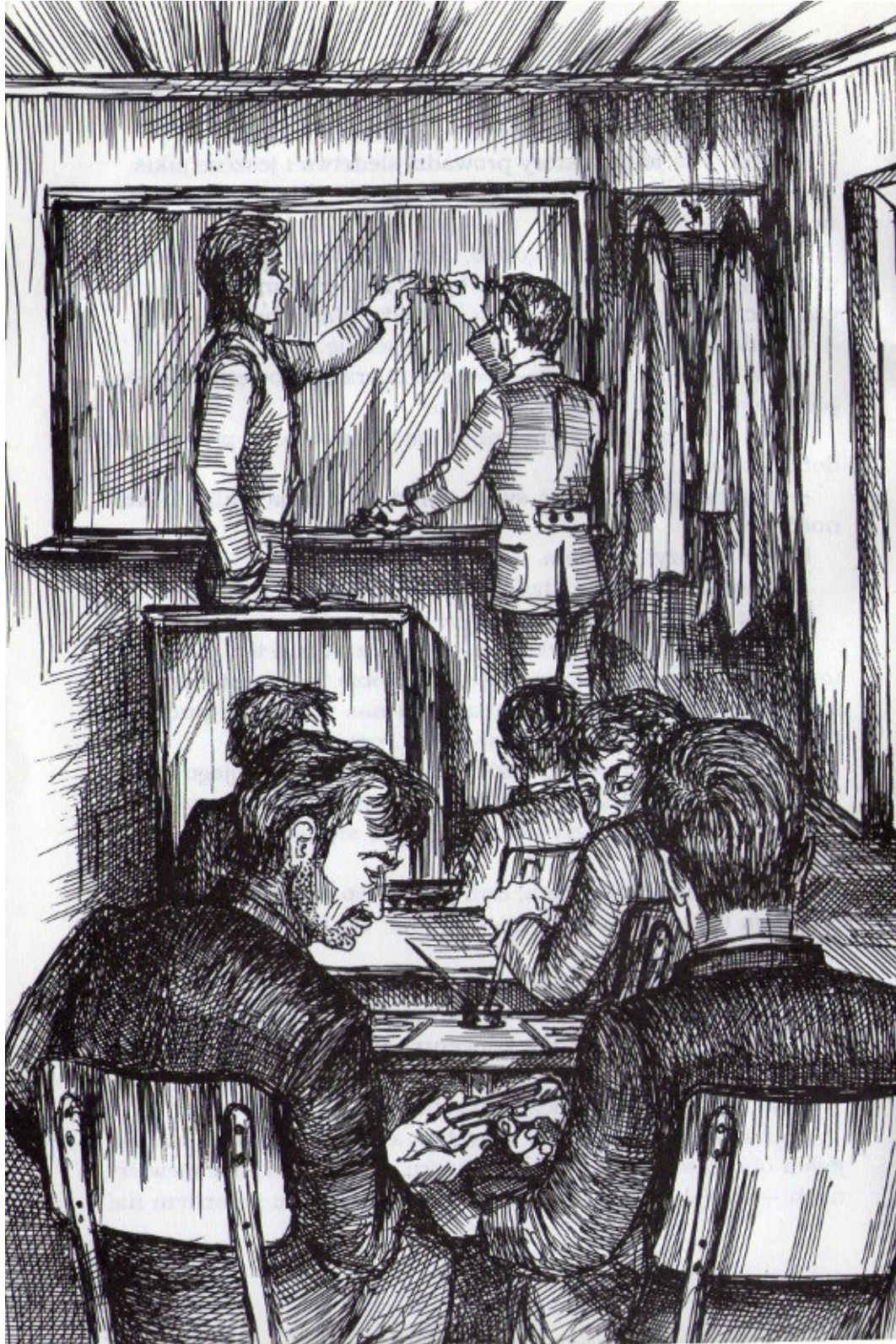
ISBN: 978-83-8119-218-7

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Rozdział 1.



Jan Gabala czuł się już na tyle dobrze, że podnosił się kilka razy w ciągu dnia na swojej pryczy, stawał przy samej ścianie na jednej nodze i od czasu do czasu ustawiał drugą stopę płasko, nie przenosząc jednak na nią ciężaru ciała. Długie leżenie zmęczyło go, w pozycji pionowej czuł się bardziej pewnie, mimo że na początku wirowało mu w głowie a chora noga dawała znać o sobie rwącym bólem.

Wyznaczono mu celę o wielkości około dwa i pół metra na dwa. Naprzeciw jego pryczy stała druga, tyle tylko że nikt na niej nie leżał. Gabala otrzymywał posiłki trzy razy dziennie i było tego jedzenia w sam raz tyle, żeby nie umrzeć. Na śniadanie kubek gorzkiej kawy i kromka gliniastego chleba, na obiad pół talerza jakiejś wodnistej, nieokreślonej zupy i na kolację taki sam chleb i taka sama kawa. Głód budził się zaraz po zjedzeniu któregośkolwiek z tych wyjątkowych smakołyków.

Nierzadko doznawał też bólów w okolicy serca. Czasami kłucie było tak ostre, że z trudem powstrzymywał się od krzyku. Dopiero w tydzień po osadzeniu w zakładzie karnym Ministerstwa do jego celi weszło dwóch umundurowanych strażników, kazali mu powstać i zaciągnęli go po schodach gdzieś do pomieszczeń biurowych. Człowiek, który go oczekiwał, rozkazał posadzić więźnia na krześle i nieznacznym ruchem ręki wyprosił strażników za drzwi. Miał nieco powyżej czterdziestu lat, włosy zaczesane gładko do góry, a na pagonach zielonego munduru widniały dystynkcje majora.

- Jestem major Czaplicki - przedstawił się od razu.

- Ja chyba nie muszę się przedstawiać - powiedział Gabala. - Chociaż czasami wydaje mi się, że jestem tu przez pomyłkę, to jednak ktoś zarezerwował mi pokój.

- Nie ma żadnej pomyłki, panie Gabala. Został pan aresztowany za kolaborację z hitlerowcami, a także za zorganizowanie oddziału specjalnego do walki z siłami postępu.

- To nieściskość. Doskonale pan wie, że tak nie jest i nie było, a ponieważ pan wie, ja nie będę nawet starał się wyjaśniać.

Czaplicki uśmiechnął się drwiąco.

- My tu mamy metody na otrzymywanie takich wyjaśnień, jakie są nam potrzebne.

- Wiem. Poznałem je w czasie okupacji. Muszę przyznać, że jesteście lepsi od swoich nauczycieli, chociaż instruktorów macie wciąż tych samych.

- Nie rozumiem - zimno odezwał się Czaplicki.

- Mówię o Zieleńcu. Krogel maltretował mnie na rozkaz Fullera, a teraz ten sam Krogel robił to samo na rozkaz towarzysza Pozyraka.

- Mamy też innych... - Czaplicki zrobił minę pełną oczekiwania.

- Gratuluję. Domyślam się, że teraz dokonaliście importu sadystów z NKWD. Co oni za to dostaną? Polski węgiel czy obywateli polskich do pracy na Syberii? I pan to akceptuje? A może to nie jest Ministerstwo Bezpieczeństwa, tylko Ministerstwo Handlu Zagranicznego?

Czaplicki zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju.

- Panie Gabala, nie ma pan dużego wyboru. I tak dostanie pan wysoki wyrok. Ale to pan powinien zadbać, aby z tym wyrokiem nie łączyły się tak zwane okoliczności towarzyszące.

- Staram się to zrozumieć. Co pan proponuje?

- Pan nam powie, gdzie ukrywają się pańscy dowódcy

oddziałów leśnych, a my to potraktujemy jako pozytywny wkład pracy i zaopiniujemy przed sądem.

- Jest jeszcze jedna ewentualność, której pan nie wziął pod uwagę, panie Czaplicki.

- Do mnie mówi się „panie majorze” - nasrożył się Czaplicki.

- Pan wybaczy, ale nie przywykłem traktować poważnie oficerskich stopni inspektorów śledczych. Stopnie wojskowe zdobywa się podczas bitwy, a nie podczas bicia bezbronnych więźniów.

- Słuchaj, Gabala! Czasami bywam nerwowo! Możesz pożałować!

Więzień wykrzywił twarz pogardliwie.

- Nie rozumiemy się. Ja nie przyszedłem zeznawać. Przyszedłem porozmawiać. Nie mam już nic do stracenia.

- Życie!

- Też nie. To już prawie poza mną. Żyję na kredyt. Mogę umrzeć za tydzień albo za piętnaście minut.

Czaplicki pochylił się nad rozłożonymi na stole papierami.

- No tak... Gabala... Panie Gabala - poprawił się szybko - Mam tu opinię doktora Wygórskiego. Pan go zna?

- Nie wiem, kto to taki. Nigdy się nie spotkałem z takim nazwiskiem.

- Jak na razie to zawdzięcza mu pan życie.

- Nie rozumiem.

- Był pan w letargu tam, w Zieleńcu. Wygórski pana z tego wyciągnął. Podobno bardzo zdolny lekarz.

Gabala uniósł brwi do góry.

- Szkoda, że o tym nie wiedziałem - powiedział jakby do siebie. - Powinienem przynajmniej podziękować.

- Może jeszcze będzie okazja!

- Wątpię. Nie mam zamiaru narzekać na swój los, bo długo się do takiej sytuacji przygotowywałem, ale muszę panu powiedzieć, że najgorzej jest w nocy. Czasami dziwię się rano, że żyję.

Czaplicki otworzył szufladę, wydobył fiolkę z tabletkami i postawił ją przed więźniem.

- To dla pana.

Gabala odczytał nalepkę i uśmiechnął się blado.

- Rozumiem, że chce mi pan przedłużyć życie, abym później lepiej prezentował się na torturach.

- Przesadza pan. Wiem, że uważa mnie pan za drania, ale nie widzę powodu, dla którego miałby pan z kolei uważać mnie za idiotę. Tortur po prostu by pan nie przeżył. Żal mi pana.

- Naprawdę? Czy było panu równie żal, gdy wysyłał pan Barkowicza z donosem do Niemców, kim jest naprawdę komendant policji?

Na twarzy Czaplickiego zawisł grymas zniechęcenia. Spojrzał na drzwi, przysunął się do stołu i powiedział przyciszonym głosem:

- Pan tego nie zrozumie. To nie miało znaczenia: Gabala czy ktoś inny. Pan był tam wszechwładny, a naszym zadaniem było oczyszczenie terenu dla ludzi nowej elity politycznej. Widzi pan, jaki jestem dzisiaj szczery? Walka polityczna to nie zabawa. Gdyby nie zmiany ustrojowe, dziś byłby pan wojewodą, może nawet ministrem, a ja otwierałbym panu drzwi. - wzruszył

obojętnie ramionami. - Nie wiem, dlaczego to mówię, ale jestem akurat w takim nastroju, że stać mnie na dostarczenie panu pewnej satysfakcji. Po wojnie zmieniła się historia, panie Gabala i dlatego pan nie jest ministrem, a ja nie jestem portierem. Rozumiemy się?

- Tak - mruknął więzień, zaskoczony niespodziewaną szczerością rozmówcy. - A czy pan chociaż wierzy w to wszystko, co pan robi?

Czaplicki spojrzał na Gabalę z ironią w oczach i nacisnął guzik na blacie biurka. W drzwiach stanęli dwaj strażnicy.

- Będzie miał pan towarzystwo u siebie - poinformował jeszcze Gabalę. - Odprowadzić! - rozkazał krótko.

Drzwi jego celi były szeroko otwarte. Osłupiał, kiedy go postawiono na progu. Nie słyszał nawet szczęku klucza w zamku.

- Witaj, Jan!

Nie!... To niemożliwe! Gabala zacisnął mocno powieki i zaraz spojrzał bystro przed siebie. Z pryczy ustawionej przy drugiej ścianie podniósł się... hauptsturmfuehrer Hans Fuller we własnej osobie.

Przez kilkanaście sekund stał z wyciągniętą ręką i patrzył przyjaźnie na nieruchomego Polaka. W końcu cofnął się i usiadł na pryczy. Oszołomiony Gabala ciągle jeszcze stał w tym samym miejscu.

- Siadaj, Jan. Już mi powiedziano, że byłeś ranny w nogę. Nie ma sensu tak stać. Powiedzieli mi o tobie wszystko.

- Wszystko? - automatycznie powtórzył Gabala.

- Tak. Ten major, który prowadzi śledztwo i jeszcze jakiś.

- I wpadli na pomysł, żeby mi podesłać zbrodniarza wojennego!

- Nie warto się denerwować, Jan. Jedziemy na tym samym wózku. Powiedz sam, czy warto było z narażeniem zdrowia i życia walczyć przeciwko nam? No powiedz. Warto było?

Gabala usiadł i oparł się plecami o ścianę.

- Wtedy miało to sens - powiedział prawie obojętnie. - Dopiero teraz widzę, że nie było warto.

- No właśnie. Przedtem i mnie się wydawało, że pracuję dla dobra Rzeszy...

- Chcesz porównywać swoje zbrodnie z moją walką o wolność?

Fuller rozłożył ramiona.

- Jan! Czy dobrze usłyszałem? Powiedziałeś „o wolność”?

Demonstracyjnie rozejrzał się po celi i rzekł:

- Liczy się zawsze efekt końcowy, Jan. A jaki ten efekt jest, to sam widzisz. Ja walczyłem przeciw tobie, ty przeciw mnie, a znalazł się ktoś trzeci, kto zapakował nas w jednym pudełku. Sympatyczny człowiek ten nasz major, prawda?

- Bardzo. To on wydał rozkaz zamordowania twojego syna.

Fuller przełknął gwałtownie ślinę, jego oczy poszarzały na chwilę, jednak zaraz na twarzy pokazał się ten sam pogodny uśmiech.

- Ja to już przebolełem, Jan. I przykro mi, że niewłaściwie oceniłem twojego oficera, tego Kowboja. On też siedzi?

- Jeszcze nie.

- Ale będzie siedział. Ja już poznałem ten wasz system. On jest taki sam jak nasz, tylko że bardziej bezwzględny.

- Jesteś pewny? Obozów koncentracyjnych Polacy jeszcze nie organizują.

Fuller spojrzał mu w oczy dobrotliwie.

- Jan, kiedyś wiedziałeś wszystko, ale teraz niewiele. Już jest jeden obóz koncentracyjny na Śląsku. Polski obóz dla niewiernych - dodał z satysfakcją. - Obozów za kołem polarnym nie liczę, bo to nie wasza architektura, inżynierze, ale... jakby to powiedzieć... sojusznicza.

Gabala pominął milczeniem uwagi współwięźnia, w jego oczach po raz pierwszy zabłysła ciekawość.

- Skąd ty w ogóle wzięłeś się w polskim więzieniu?

Fuller nieporadnie rozłożył ramiona.

- Sam nie wiem. Chyba zbyt powoli uciekałem. Zresztą nie było dokąd. Z jednej strony Amerykanie, z drugiej Rosjanie. Myślałem, że przeczekał najgorszy czas, ale wpadłem.

Gabala potarł pięścią nieogoloną od wielu dni twarz.

- Co za ironia losu! - zawołał. - Wiesz, jakimi słowami określają niektórzy Rosjanie niektórych Polaków? „Pachołki sowieckie”. Plują im w twarz, a oni i tak padają plackiem przed nimi i dalej merdają ogonkami. Co ty na to?

- No wiesz... wojna się skończyła i nie chciałbym obrażać twojego narodu. To twoja opinia. Gdybym ja miał takie przekonanie o swoich rodakach, nie walczyłbym za nich.

- Każdy z nas ma inne doświadczenia. Czy wiesz, że mój naród był kiedyś największą potęgą europejską?

- Kiedy to było?

- Szesnasty i siedemnasty wiek.

- Historia nie interesowała mnie nigdy. Co robili wtedy

Niemcy?

- Składali naszym regularne hołdy i daniny.

Fuller pokręcił głową z podziwem.

- Niesamowite! A co robili Rosjanie?

- Bali się naszych jak ognia. Zabiegali o polskie księżniczki dla swoich książąt. Polacy dwukrotnie zdobywali Moskwę.

- Popatrz, jak ten świat się zmienia! Może jeszcze kiedyś historia się powtórzy?

- Wątpię. Zbyt wielu przedwojennych autentycznych pachołków przeszło na służbę do obcego pana. Nowe władze postawiły na prostaków, bo tacy najszybciej wytracają w sobie świadomość narodową. A przecież o to właśnie chodzi... Ojej!... O!...

Skurcz bólu pojawił się na twarzy Gabali.

- Co się stało?

- Weź... w kieszeni... Nitrogliceryna!...

Ból prawie uniemożliwiał wyartykułowanie całego zdania. Fuller pośpiesznie sięgnął do kieszeni Polaka, wydobyl szklaną fiolkę i wyjął jedną tabletkę. Ostrożnie wsunął ją choremu do ust. Gabala poruszył językiem, trwał kilkadziesiąt sekund nieruchomo z zamkniętymi oczyma. Niemiec chwycił go za przegub ręki, próbując wyczuć puls, ale chory już odetchnął głęboko, otworzył oczy i przyłożył rękę do serca.

- Przeszło! - wystękał. - Tym razem przeszło. Ile jest tych tabletek?... Dwadzieścia. Założę się z tobą, Hans, że więcej nie dostanę.

Uśmiechnął się prawie swobodnie. - Żartowałem. Zakład nie wchodzi w grę. Co bym ci mógł oddać w razie przegranej?

Chyba tylko pustą fiolkę!...

Rozdział 2.

Tego dnia była to już ostatnia lekcja w klasie maturalnej. Lekcja języka polskiego. Profesor Liszkiewicz odczytał fragment „Wesela” Wyspiańskiego, odłożył książkę i powiedział:

- Drodzy państwo, trzeba będzie przygotować „Wesele” na trzydziestego października. Byłoby najlepiej, gdybyście do tego czasu łączyli się w małe grupki i czytali wspólnie po lekcjach. Mam tylko pięć egzemplarzy. Czy tydzień czasu wystarczy na przygotowanie się?

- Powinno wystarczyć - zadeklarował się Pietras.

- Myślę, że tak! - poparł go stanowczo Lolek Komorowski.

- A co na to panie? - zwrócił się Liszkiewicz do rzędu, w którym siedziała nieliczna grupa dziewcząt.

- Jeżeli chłopcy tak mówią... - pisnęła niepewnie Teresa Janczak.

- To świetnie. W takim razie ustalamy wspólnie, że na trzydziestego października wszyscy jesteśmy przygotowani na piątkę!

- Dlaczego aż na piątkę? - naburmuszyła się Kaśka Dobrzyńska. - Nie może być na czwórkę?

- Nie. „Wesele” musi być przygotowane na piątkę. Inna ocena w tym przypadku nie może być brana pod uwagę. Jeżeli zajdzie potrzeba i ktoś czegoś nie zrozumie, jestem do waszej

dyspozycji.

Lolek podparł się łokciem o blat ławki i wcisnął podbródek w rozwartą pięść. Lubił słuchać Liszkiewicza, gdy ten mobilizował ich cierpliwość i namawiał do czytania lektur, spośród których nie wszystkie przecież były aż tak porywające. Oł, czyta się, bo profesorowi nie wypada odmówić.

Spojrzał w bok i zauważył, jak Teresa próbuje dyskretnie poprawić podwiązkę, podciągnąwszy najpierw wysoko spódnice. Jejku! Co za wspaniałe uda! Momentalnie wyfrunęły z głowy wszystkie zalecenia nauczyciela.

Drzwi otwarły się, spódnica opadła gwałtownie. Do klasy wszedł dyrektor Nowicki. Jak on chodzi, że kroków nie słychać na korytarzu?

Zatrzeszczały ławki. Uczniowie wyprostowali się karnie. Dyrektor kiwnął łysą głową Liszkiewiczowi na powitanie i zaraz stanął przed trzema rzędami ławek.

- Siadajcie! - rozkazał wojskowym tonem. - Otrzymałem informację, że w tej klasie znajdują się uczniowie, którzy należeli do podziemnej Armii Krajowej. Czy to prawda?

Nikt nie odpowiedział.

- Czy to prawda, panie profesorze Liszkiewicz?

Nauczyciel wzruszył ramionami.

- Nic takiego do mnie nie dotarło. Gdyby tak było, to myślę, że uczniowie sami by się pochwalili.

Dyrektor zrobił łagodniejszą minę.

- Nie jest to żadna przygana z mojej strony. Z wrogiem walczyliśmy na różne sposoby. Ale jest zarządzenie władz, że byli AK-owcy powinni się zarejestrować i trzeba to zarządzenie

uszanować. Rozumiemy się, panie Pietras?

- Tak jest, panie dyrektore.

- A pan był może w AK?

- Nie, panie dyrektore. Byłby to zaszczyt, ale... - Rysiek zrobił przeproszącą minę - nie wyszło. Za młody byłem.

- Widocznie źle pan trafił, jeżeli panu tak powiedziano. A pan, panie Lipka?

- Nie należałem do niczego, panie dyrektore. Ja się boję strzelania.

Klasa roześmiała się na cały głos.

- Więc kto? - dyrektor odczekał aż ucichną. - Kto należał?

- Może dziewczyny! - wychylił się Lolek Komorowski.

I znowu wszyscy w śmiech. Dyrektor popatrzył na Lolka z niesmakiem.

- Ja pytałem poważnie i ostrzegam, że jeżeli dowiem się o nieujawnionych przypadkach, z maturą trzeba będzie się pożegnać.

Wyszedł bez „do widzenia” tak nagle, jak przyszedł.

Liszkiewicz wziął książkę do ręki, rozejrzał się po klasie i rozpoczął czytanie nowego fragmentu. Lolek z żalem popatrzył na szczelnie osłonięte spódnicą nogi Teresy. Ta pończocha mogłaby przecież obsunąć się jeszcze raz!

Rozdział 3.

Komendant Kacprzak stał, a towarzysz Kapica siedział

i nieprzyjemnie marszczył brwi. Kiedy wreszcie zostanie położony kres działalności band leśnych? Kiedy tutaj, w podziemiach tego budynku, znajdą się trzej hersztowie: Kowboj, Cygan i Kormoran? Czy komendant chce, żeby bandyci wymordowali cały Urząd i całą milicję, tak jak to zrobili z kierownikiem Inowolakiem? Przecież nikt nie zna tak dobrze terenu i ludzi jak Kacprzak. Więc dlaczego wyniki są tak marne, dlaczego nie ma zorganizowanej sieci informatorów? Przecież Urząd nie może brać wszystkiego na swoje barki, do jasnej cholery!

- Złapaliśmy już Gabalę... - mruknął niepewnie Kacprzak.

- Co to znaczy „złapaliśmy”? Złapali go ludzie majora Czaplickiego! Stale docierają do mnie wieści, że coś się szykuje, a nikt nie wie, co, kiedy i gdzie. Nie można dopuścić do tego, żeby bandom powiódł się jakiś napad.

- Napady ustały - przypomniał znowu Kacprzak. - Jestem ciągle w terenie z moimi ludźmi i ostrzegamy wszystkich przed kontaktami z bandą.

- A skąd wiadomo, kiedy coś się zacznie? Nie będzie spokoju, dopóki tamci są na wolności! Od dziś macie się zabrać do tego energiczniej! Zrozumieliście?

- Tak jest!

- No! - odetchnął sekretarz. - A teraz nalewajcie!

Kacprzak przysiadł się do stołu udekorowanego dwiema butelkami wódki, ćwiartką chleba i puszką rybich konserw.

Rozdział 4.



Lolek poczekał aż Teresa Janczakówna wyjdzie na schodki prowadzące od drzwi szkoły do bramy wyjściowej.

- Teresa? - zawołał z dobrze udanym zdumieniem? - Cieszę się, że cię widzę! Myślałem, że jesteś już w domu. Co cię tak długo zatrzymało?

- Czytaliśmy „Wesele”. Wiesz przecież, że...

- Ach, prawda! Ja to już mam za sobą. Czy mogę cię odprowadzić?

- Czyżbyś nie wiedział, jaki kawał drogi mam do domu?

- Nie szkodzi. Dziś już nie mam nic do roboty.

- No to... no to proszę cię bardzo!

Twarz Lolka rozpromieniła się w uśmiechu.

- Nie gniewasz się, że zawracam ci głowę? - zapytał nieśmiało

- Bardzo się gniewam! - powiedziała Teresa grubym głosem.

- To może ja już pójdę?

- Tak, tak! Ze mną!

Ucieszył się tym żartobliwym zaproszeniem i od razu ogarnął ją ramieniem. Spojrzała na niego okrągłymi oczami.

- Nie wydaje ci się, że jesteś za szybki?

- Oj! - natychmiast odsunął się usłużnie. - Rzeczywiście przesadziłem.

- Nie zgrywaj się! - zawołała i zdecydowanym ruchem wzięła go pod rękę. - Idziemy! A teraz opowiesz mi problematykę "Wesela".

- Dobrze. A więc problem sprowadza się do tego, że z Polakami zawsze było marnie. Czekali na cud, zamiast razem

wziąć się do roboty. Koniec.

Zrobiła zawiedzioną minę.

- Koniec? Profesor każe napisać kilka stron! Czy ty wiesz - przypomniała sobie nagle coś nowego - że profesor też był w partyzantce?

- Niemożliwe! W jakiej?

- Tego nie wiem, ale niedługo się dowiem. Tatuś mówił, że w partyzantce byli też wrogowie narodu.

Lolek prychnął z niedowierzaniem.

- Wrogowie? - zastanowił się krótko. - Może i byli. Którą partyzantkę masz na myśli? Ludową czy Krajową?

- Oczywiście, że Krajową! Tatuś mówił, że w Ludowej byli Patrioci, a Krajowa kolaborowała z Niemcami.

- Ciekawe! Nigdy bym tak nie pomyślał. Dla mnie partyzantka to partyzantka. Mało ważne, jak się nazywa. Chodziło o to, aby Niemców pokonać.

- Nie masz racji. Tatuś mówił, że dowódcą AK był komendant policji, Gabala. A przecież wszyscy wiemy, że policjanci kolaborowali z Niemcami.

Lolek zmarkotniał nagle. Zwolnił kroku i obejrzał się do tyłu jakby zamierzał zawrócić.

- Co ci jest? Zobaczyłeś kogoś?

- Nie - odpowiedział z roztargnieniem. - Nie lubię polityki i to wszystko.

Stanęła i przytuliła się do niego mocno.

- To dobrze - powiedziała krzywiąc usta - bo ja też nie. Tatuś mnie ciągle uświadamia, już mnie głowa boli od tych lekcji domowych. A ja bardzo się cieszę, że teraz idę z tobą.

Pochyliła nisko głowę i dodała cicho:

- Lolek, chciałabym, żebyś mnie pocałował.

Chłopak wstrzymał na chwilę oddech, uchwycił Teresę delikatnie pod brodę i przybliżył twarz do jej ust. Całowali się długo i bez oddychania. Odskoczyli od siebie jednocześnie, bo w tym samym czasie zabrakło im tchu.

- Jeszcze raz! - szepnął Lolek, gdy tylko nabrał nowy zapas powietrza w płuca.

- Poczekaj, bo muszę odsapnąć...

Tym razem objął dziewczynę mocniej, a jego usta prawie zmiażdżyły wargi Teresy.

- Ależ... ty... jesteś niecierpliwy! - wyszeptała, gdy poczuła rękę chłopaka, wciskającą się za jej stanik. - Zostaw! - szarpnęła się energicznie. - Takich rzeczy nie robi się na szosie!

Lolek potarł twarz obiema rękami i dopiero wtedy uśmiechnął się.

- Teresa!

- No co? - zapytała, przechylając głowę na bok.

- Nie wytrzymam dłużej!

- To chodź! Szybko! - pociągnęła go za rękę.

- Ale dokąd?

- Też pytanie! Do mnie. Przecież miałeś mnie odprowadzić.

Jeszcze raz przytulił ją mocno, zabawnym wyrzutem nogi zrobił duży krok i pociągnął dziewczynę za sobą. Dotychczasowy spacer zamienił się w szybki marsz. W rekordowym tempie mijali drzewa przydrożne i drewniane słupy telefoniczne. Szli objęci ramionami w pół, od czasu do czasu zwracali ku sobie twarze i nie zwalniając kroku, posuwali się do przodu.

Było ciemno. Nad głowami nie błyszczały im gwiazdy, zapowiadała się pochmurna, a być może deszczowa noc, ale wzrok przyzwyczał się już do ciemności na tyle, żeby nie zawadzić stopą o kamień lub nie wpaść w przydrożną rozpadlinę.

Do zagrody Janczaków dotarli od strony stodoły. Krótkim szczeknięciem powitał ich duży, czarny pies. Zresztą natychmiast przypadł Teresie do nóg i skomląc cicho, dopraszał się pieszczot.

- Odejdź, Reks! - zawołała cicho dziewczyna. - Nie wolno nikogo budzić.

Lolek nie wypuszczał Teresy z objęć. Jego ręce niecierpliwie manewrowały przy zapięciu stanika. Chrząknął radośnie, kiedy wyczuł, że nareszcie metalowa haftka puściła. Przesunął łakomie ręce od pasa w górę, ogarniając dłońmi całe plecy dziewczyny. Poczuł jej głębokie westchnienie, po którym wtuliła się w niego jeszcze mocniej.

Wpił się ustami w jej usta, oboje nauczyli się już oddychać przez nos, a jednocześnie jego dłoń wsunęła się głęboko za pasek spódnicy. Pod palcami chłopaka drżała napięta skóra pośladków. Lolek potrząsnął mocno głową, przeniknęło go takie samo drżenie, jakie wyczuwał na ciele Teresy.

- Chodź do środka! - wyszeptał.

- Boję się! Ktoś może tu przyjść.

- Teraz? Przecież w domu ciemno. Na pewno już śpią.

Teresa oderwała się na chwilę od chłopaka, pobiegła za róg stodoły. Czarny pies natychmiast ruszył za nią.

- Rzeczywiście światło się nie pali - powiedziała wracając.

- Chodźmy! - Lolek chwycił mocno jej dłoń.

Zapuszcziała krótko wąska furtka do stodoły. Zamknęli ją tuż przed nosem Rekxa, który usiłował też wepchnąć się do środka. Zapach siana uderzył w nozdrza i jeszcze bardziej pobudził zmysły. Lolek wspinał się pierwszy na wysoko ułożony stos siana.

- Bądź ostrożny! - krzyknęła za nim zduszonym głosem. - Tatuś trzyma tu gdzieś widły!

- Chodź! Nie ma żadnych widel!

Pospieszenie zerwał z siebie kurtkę i rozpostarł ją przed Teresą.

- Rozbierz się! - szepnął i zaraz sam szarpnął od dołu za jej sweterek.

Potem przyszła kolej na bluzkę, rozpięty wcześniej stanik sam zsunął się z ramion. Lolek wcisnął twarz pomiędzy sterczące piersi, łakomie przeskakując ustami od jednej brodawki do drugiej.

Teresa odpięła pasek spódnicy. Zdecydowanym ruchem ściągnęła z siebie wszystko i opadła na rozłożoną kurtkę. Oszołomiony Lolek przywarł teraz twarzą do jej ud, rozchylając je pocałunkami.

- Rozbierz się! - jęknęła dziewczyna. - Teraz!

Nie zwracał uwagi ani na guziki, ani na prujący się podczas gwałtownego zdzierania materiał. Jego napięte pragnienie było teraz ponad wszystkim.

- Tylko uważaj! - usłyszał jeszcze rozgorączkowany głos Teresy. - Ja jeszcze nigdy... Ooooch!...

Na moment tylko zeszywniała w oczekiwaniu bólu, ale

przecież zaraz po wślizgnięciu się Lolka w spragnione ciało radosny uśmiech rozpromienił jej twarz, opłótła chłopaka udami i trwała tak do samego końca.

Lolek delikatnie całował rozdygotane piersi i ocierał się twarzą o brzuch Teresy. Słowa miłości cisnęły mu się na usta, ale nie potrafił jeszcze wykrztusić niczego z sensem. Znowu nieśmiałość odbierała mu głos.

- To było cudowne! - wydyszała mu do ucha. - Ale pamiętaj, że zaraz musimy iść. Nikt nie może nas zobaczyć. Tatuś by mnie chyba zabił.

- Już wstaję! - zamruczał rozanielony chłopak. - Jeszcze tylko przytulę się raz. Tylko raz...

Pozwalała mu na wszystko. Była upojona przeżyciem i nie chciało jej się ruszać z miejsca. Oparła swoje usta o wargi chłopaka.

- Wstajemy... - szepnęła niechętnie i zamknęła oczy.

- Uhm...! - Lolek starał się pokiwać głową, ale chyba zastygły mu stawy między barkami a szyją i nic z tego nie wyszło. Westchnął tylko i znieruchomiał.

Śniła mu się wojna. Samoloty z czarnymi krzyżami wypluwały ze stalowych brzuchów bomby wprost na pokrytą żółtymi kaczeńcami łąkę. Pośród kwiatów kryła się naga postać Teresy. Próbował chwycić ją za rękę i wyrwać ze strefy zagrożenia, ale przerażone oczy dziewczyny usztywniły go i sam nie potrafił ruszyć się z miejsca. Wsłuchiwał się tylko w ryk motorów i liczył spadające bomby. Samoloty huczały coraz głośniejsze, tak głośno, że już wytrzymać było trudno, uszy bolały...

Instynktownie ogarnął ramionami śpiącą obok dziewczynę, napierając jednocześnie całym ciałem w kierunku ściany, dzięki czemu oboje przesunęli się w bok. Ostrze siekiery, spadające już nie z uślanego samolotami nieba, ale też gdzieś z góry, zaplątało się w pomiętej kurtce. Lolek niewiele miał czasu na otrzeźwienie. Dwie sekundy a może jeszcze mniej. W stodole było już na tyle widno, że bez trudu rozpoznał rozwścieczoną twarz Janczaka.

- Ty AK-owski, reakcyjny bydlaku! - grzmiał ojciec Teresy. - Toś ty taki? Na moim własnym terenie bałamucisz mi córkę? Ty faszystowska świni! To już ostatni dzień w twoim życiu!

Drugiego ciosu nie zdołał do końca uniknąć. Siekiera przejechała mu plecy od łopatki aż do biodra. Nie poczuł bólu, raczej swędzenie. Tamten nie ustępował. Zapadał się w siano, ale szedł naprzód. Lolek cofał się, coraz mniej miejsca widząc na ucieczkę dla siebie. Janczak spychał go w sam róg stodoły.

- Tato, zostaw! - krzyknęła przeraźliwie Teresa i stanęła na nogi.

Jej nagie ciało oświeślały promienie słońca, przenikające przez szpary w deskach. Janczak tylko na sekundę odwrócił oczy.

- Ty szmato! - wysyczał i postąpił jeszcze jeden krok w stronę Lolka. Uciekać nie było już dokąd.

Teresa nie zamierzała ustąpić. Widząc wznoszącą się do góry siekierę, skoczyła na ojca, objęła go ramionami mocno w pasie i zawisała na nim całym ciężarem. Janczak stracił równowagę, próbował podeprzeć się wysuniętą w bok nogą, ale trafił w jakąś dziurę. Jego uzbrojona ręka spadła z dużą siłą na plecy dziewczyny. Lolek mógł wyraźnie zobaczyć, jak ostrze wryło się

na skos w kręgosłup, jak nieruchomieje w ranie, jak wylewa się stamtąd szeroka struga krwi.

Z trojga piersi wydarł się jednoczesny krzyk. Bólu, nienawiści i przerażenia. Lolek nie pomyślał nawet o tym, że trafiła się oto okazja do ucieczki. Janczak leżał przywalony ciałem córki. Można było przeskoczyć ich oboje, a nawet chwycić jakiś strzęp ubrania na drogę. Nie zrobił nic. Stał i patrzył jak zahipnotyzowany w krew zalewającą nagie plecy.

Poruszył się dopiero wtedy, gdy Janczak gwałtownie zrzucił z siebie Teresę i w pozycji mocno pochylonej do przodu stanął naprzeciw niego. Na ucieczkę było za późno. Lolek ze strachem w oczach sięgnął rękami do tyłu. Lewą trafił na ścianę, prawą...

Aż zadrżał z przejęcia. Twardy, masywny trzonek wpasował mu się dokładnie pomiędzy kciuk a pozostałe palce. Czy to wspomniane jeszcze wczoraj widły gospodarza? Nieważne. Gdyby nawet trzymał w ręku tylko trzonek, od razu wzrosłyby jego szanse.

A uzbrojony mężczyzna zrobił już następny krok, unosząc oburącz ciężką siekierę. Wykrzywiona jakimś szaleńczym spazmem twarz nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Janczak szedł, aby zabić.

Lolek poderwał kołek do góry i zanim jeszcze wyciągnął go do końca, wiedział już, że były to widły. W ułamku sekundy dołączyła druga dłoń. Niewiele energii włożył w pchnięcie. Czy Janczak był aż tak zaślepieony nienawiścią, że nie dostrzegł przeszkody, czy może cień zalegający kąt stodoły utrudnił mu prawidłową ocenę sytuacji, w każdym razie śmiertelny cios zatrzymał się w połowie drogi. Zdziwione oczy napastnika do końca nie potrafiły rozeznaczyć, co się stało. Żelazny kiel wszedł

miętko w krtani i wyszedł po drugiej stronie u nasady czaszki. Przez kilka chwil obydwaj mężczyźni nie poruszyli się nawet. Stali naprzeciw siebie, oko w oko, z wyszczerzonymi zębami jak groźne zwierzęta.

Pierwsza upadła siekiera. Jej trzonek zawadził o widły i niemal bezszelestnie utkwiał w sianie. Dopiero wtedy Lolek odczuł ciężar trzymany na widłach. Silnym szarpnięciem pociągnął trzonek do siebie i Janczak upadł na twarz. Kilka razy jeszcze kopnął odruchowo nogą aż w końcu zastygł nieruchomo.

Lolek sapnął, przełknął ślinę i pochylił się nad Teresą. Krew wypływała już wolniej z rany, ale dziewczyna nie ruszała się. Delikatnie ujął ją jedną ręką za bark, drugą za udo i obrócił na wznak. Wydawało mu się, że dziewczyna patrzy na niego, jej wargi poruszyły się nawet kilka razy, ale był to już ostatni odruch życia.

Trzęsącymi się rękami zgarnął swoje rzeczy, ubrał się i ostrożnie zszedł na dół. Przy furtce powitał go Reks. Zamerdał ogonem, obwąchał jego ubranie i sprężystym susem wskoczył do środka stodoły. Lolek zamknął drzwiczki, rozejrzał się na wszystkie strony. Był wczesny świt, ludzie jeszcze nie wychodzili z domów. W pierwszej chwili spróbował obejrzeć wszystkie plamy krwi na ubraniu, ale po krótkim namyśle uznał, że najlepiej będzie, jeżeli zrobi to dalej od budynków. Sztuka polega teraz na tym, by zająć niepostrzeżenie do domu, przebrać się i zdążyć w odpowiednim czasie do szkoły. O tym, co się stało, wolał nie myśleć. Przynajmniej nie teraz.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

